

TEOLOGIA PRAKTYCZNA
UNIWERSYTET IM. ADAMA MICKIEWICZA • WYDZIAŁ TEOLOGICZNY
TOM 3, 2002

LEO KARRER

**Osoba świecka — w świecie i w Kościele
jak w domu**

I. Napięcie pomiędzy roszczeniem, a rzeczywistością

Najczęściej przeżywamy dzisiaj tylko pewien wycinek tego, czym jest Kościół, wycinek, który w dodatku bywa jeszcze mizerny i zaciemniony¹. Wtedy gdy kobiety i mężczyźni zdają sprawę ze swego powołania jako chrześcijan oraz roli jaką pełnią w Kościele, trzeba brać pod uwagę całe spektrum realiów Kościoła, wiedząc, że rozrasta się on według historycznej odpowiedzi ludzi na osobę i drogę Jezusa z Nazaretu. Kościół jest tylko Bożym prowizorium — tak, tylko prowizorium, z wszystkimi historycznymi niewiernościami i przypadkami budzącymi rozczarowanie. Pomimo swego służebnego kształtu posiada on równocześnie wszelkie prawo urzeczywistniania się jako historyczny życiowy związek, w którym odkrywamy dostęp do wiary w otwartą, ofiarowaną i przeżytą przez Jezusa przyjaźń z Bogiem i w wyrastającą z niej nadzieję.

Pomimo takiego spojrzenia oczyma naszej wiary nie możemy nie widzieć obecnej sytuacji, w której wszędzie ma się wrażenie, że otwarte ku przyszłości nadzieje i oczekiwania zarówno w społeczeństwie, jak i w Kościele ustąpiły miejsca pragnieniu przywrócenia dawnych porządków. Dochodzą do głosu „maszyniści systemu” posługujący się przedwczorajszymi instrukcjami obsługi. Człowiek chce — ujmując rzecz z grubsza — czuć się tak jak dawniej i szuka bezpieczeństwa w obronnych schronach kościelnych. Boi się istnienia (kształtowania się) w jeszcze otwartej przyszłości, nie ma odwagi na *exodus* z dawniej możliwych struktur. To bywa naprawdę uciążliwe, otworzyć się, czy w niektórych przypadkach wycierpieć przyszłość Kościoła, także wtedy, gdy ona się już pojawia.

¹ Oryginał tekstu został opublikowany pt. *Laien: in der Welt und in der Kirche zu Hause* oraz *«Brich auf ... und sei ein Segen»*. W: Leo Karrer: *Die Stunde der Laien. Von der Würde eines namenlosen Standes*. Verlag Herder. Freiburg im Breisgau 1999 s. 327–336.

Duchowy testament Synodu Diecezji Niemieckiej Republiki Federalnej (1975) zatytułowany „Nasza nadzieja”, określający Kościół *wspólną nadziei* (1, 8) stawia pytanie: *Czy nasze kościelne życie jest wypełnione duchem i mocą tej nadziei? Świat reprezentujący często beznadzieję nie potrzebuje ze strony religii podwojenia tej postawy; Potrzebuje i poszukuje czegoś wręcz przeciwnego, rozsadzającego świadectwa nadziei. To co jesteśmy światu winni, to wyrównanie deficytu czytelnie przeżywanej nadziei...* (II, 2).

II. Jako ludzie Kościoła w sercu świata, i jako ludzie świata w sercu Kościoła (Puebla)

Wzorcowym obrazem Kościoła, wspólnoty parafialnej, czy też każdej chrześcijańskiej grupy nie jest zamykanie się w zintegrowanym systemie, bloku myślowym czy elitarnie wyobcowanie się poprzez stworzenie pewnego rodzaju getta, tylko bliskość z ludźmi i światem będąca owocem krytyczno-prorockiej postawy otwarcia się na świat. Oznacza to, że Kościół z całą swoją aktywnością i formami życia nie jest celem samym w sobie, tylko istnieje po to, aby poprzez słowo i czyn, zarówno w działalności publicznej, jak i w cichych, często niedocenianych działaniach, stawać się znakiem nadziei wśród ludzi i we wnętrzach ich serc. Taka misja wprowadza chrześcijan w napięcie, a może częściej nawet w rozdarcie, jakby w polu magnetycznym pomiędzy konkretnym społeczeństwem, a wezwaniem Ewangelii. Trudno zniwelować lub całkowicie ukoić ten podstawowy konflikt pomiędzy teologiczną misją Kościoła z jednej strony, oraz oczekiwaniami i potrzebami społeczeństwa i ludzi z drugiej. Za głęboko poruszającym słowem z konferencji w Puebla należy powtórzyć: Każdy z nas chrześcijan wezwany jest aby strzec swojej tożsamości, na miarę naszego osobistego bogactwa, po to, by jako *człowiek Kościoła w sercu świata i jako człowiek świata w sercu Kościoła* (nr 786) zużywać się dla ludzi — w dobrym tego słowa znaczeniu — i dokładnie rozpoznać miejsce, na które Bóg pragnie przyjść, także wtedy, gdy wszystko wydawałby się temu przeczyć.

Słowa z dokumentu z Puebla o ludziach świata w sercu Kościoła i ludziach Kościoła w sercu świata, będące skrótem duchowości chrześcijańskiej, oznaczają trafnie to płodne napięcie pomiędzy dwoma biegunami. Nie wolno nam jednak nie zauważyć i tego niebezpieczeństwa, że na obu biegunach chrześcijańska egzystencja traci na swojej ostrości i może być proponowana po zredukowanej cenie.

Niebezpieczeństwo może polegać na tym, że, jak to już zostało powiedziane, w Kościele zwracamy uwagę na samych siebie, budujemy zamki i twierdze, za których murami okopuje się załęczniona załoga albo rozgrywa się mała pałacowa rewolucja. Fundamentalny cel misyjny Kościoła jako Bożego prowizorium nie realizuje się w kościelnym, względnie konfesyjnym integralizmie, w którym wszystkie społeczne i ludzkie dziedziny życia próbuje się organizacyjnie podporządkować kościelnym instrumentom, np. katolicka szkoła, katolicka telewizja, katolicka polityka kulturalna, katolickie partie i związki zawodowe, itp. Taka forma może być w szczególnych historycznych sytuacjach taktycznie wskazana, nie jest jednak istotną formą bycia chrześcijaninem ani Kościołem, tylko pytaniem praktycznego rozsądku. Decydujące pozostaje budowanie mostu pomiędzy ludźmi i ich światem.

Podstawowe napięcie musiałoby jednak zaistnieć nie pomiędzy tradycjonalistami i progresistami, nie pomiędzy reprezentantami centralistycznie zorganizowanego Kościoła, a tzw. laikatem, nie pomiędzy duchownymi i zakonnikami po jednej, a świeckimi po drugiej, nie pomiędzy hierarchią, a teologami, nie pomiędzy postawą urzędowego negocjowania świeckich, a laickim antyklerykalizmem, nie pomiędzy Rzymem, a Kościołami lokalnymi, nie pomiędzy namaszczonej do służby uświęcania kapłanami, a przeznaczonymi do służby w świecie asystentami pastoralnymi, lecz pomiędzy chrześcijańskim posłaniem, a światem z wszystkimi jego pytaniami. Można przypuszczać, że w obecnym czasie jesteśmy bez wątpienia zajęci wewnętrznymi i często sztucznie stwarzanymi problemami powodującymi konflikty. Ścieramy się w licznych gremiach podejmując decyzje i analizując sytuację, stając się katolicyzmem posiedzeń. Tracimy przez to wiele mocy, zbyt wiele dobrej woli, a także duchowych i psychicznych rezerw, które są nam darowane po to, by wykorzystać je na służbę dla świata i dla ludzi.

Im intensywniej człowiek Kościoła stara się kształtować swoje życie jako chrześcijańską praktykę wiary (która nie jest równoznaczna z zewnętrzną kościelnością), tym bardziej doświadcza on często boleśnie niezgodności z normami i oczekiwaniami preracjonalizowanego przemysłowo-ekonomicznego porządku, którego wyznacznik wiary streszcza się w słowach: racjonalność, sukces, konkurencja oraz finansowe oprocentowanie. Także w zakresie zarządzania i handlu, aż po wykształcenie i opiekę medyczną, wymuszane są zachowania, które stoją w sprzeczności z podstawowymi zasadami dotyczącymi godności człowieka, jego autonomii i wolności, solidarności i sprawiedliwości. Na tym tle konieczne staje się zwrócenie uwagi na niezgodność pomiędzy obowiązującymi w społeczeństwie postawami, a oficjalnie reprezentowanymi przez Kościół zasadami i wartościami, które bardzo wyraźnie dotyczą różnych przestrzeni życia wszystkich zaangażowanych chrześcijan oraz duszpasterzy. Wyniki przeprowadzonej wśród niemieckich katolików wielkiej ankiety służącej przygotowaniu synodu, wskazują przede wszystkim na cztery zagadnienia, w których członkowie Kościoła rozumieją się jako członkowie społeczeństwa, doświadczając bardzo istotnie niezgodności z tym, czego uczy Kościół. Te cztery zagadnienia to: pojmowanie wolności, znaczenie i uzasadnienie autorytetu w Kościele, ogólne „nastawienie do życia” oraz seksualność w najszerszym tego słowa znaczeniu. Na tym polu chrześcijanie wykazują swoją charyzmatyczną moc, gdy z odwagą i delikatnością wobec rzeczywistości życia, z głębi chrześcijańskiej nadziei to życie pielęgnują, kształtują, dźwigają, umożliwiają, znoszą, dodają odwagi by żyć i odkrywają w tym radość (i potrafią się tym cieszyć).

III. W obronie duchowości zdrowej krytyki Kościoła

Nie można być chrześcijaninem nie podejmując ryzyka. Jedną z form takiego ryzyka może być fakt, że przy całym krytycznym widzeniu problemu identyfikowania się z Kościołem i instytucjami społecznymi, rodzi się postawa identyfikacji z modnymi trendami i ideologicznymi kierunkami rozwoju społeczeństwa. Niezaprzeczalne

i nie do zlikwidowania napięcie pomiędzy chrześcijańską wiarą a światem, może prowadzić człowieka do przyjęcia mentalności świata. Czy szczególna forma krytyki nie może też prowadzić ku alternatywnemu zaangażowaniu się? Czy czasem nie przepisujemy czysto teoretycznie (albo w ogólnikowej krytyce) wymagających recept, nie biorąc pod uwagę sytuacji ludzi, którzy tę teorię i zaproponowane rozwiązania powinni zrealizować, względnie doświadczać z tego powodu cierpienia? Może to się zdarzyć także osobom świeckim, że walczą oni w nieskończoność wewnętrzkościelne problemy, nie dostrzegając, że serwują innym kamienie zamiast umacniającego chleba, i dziwiąc się później, że te „kamienne okruchy” zostają odsunięte lub wręcz odrzucone.

Z pewnością kościelność rozumiana jako zaangażowana miłość do Kościoła w jego chrześcijańskim sensie i jako wynikająca stąd międzyludzka solidarność nie ma oznaczać braku krytycyzmu. Chodzi raczej o zdobywaną wciąż na nowo otwartość, która wprowadzić zdaje sobie sprawę z braków i niebezpieczeństw doktrynalnych i instytucjonalnych schematyzmów kościelnej administracji, ale mierzy Kościół miarą Ewangelii i dlatego mimo jego ran i braków nie dystansuje się od niego ani go nie porzuca (uzasadniając to porzucenie jego brakami).

Stąd także prawo do protestu w Kościele. Jeśli rzeczywistość przestaje być akceptowalna, a duchowieństwo działa bardziej taktycznie niż duszpastersko, wtedy osoby świeckie — na mocy ich misji w Kościele — zobowiązane są do protestu. Kiedy np. kościelne instytucje wycofują się z ważnych działań społecznych wtedy obowiązkiem świeckich jest nie tylko zaprotestować, ale wręcz podjąć alternatywne działania.

Jeśli krytyka ma rzeczywiście być czymś więcej niż tylko krytyką, musi odważyć się na przekroczenie w krytycznym i zarazem prorockim duchu opcji zasadniczo pozytywnej. Dotknie ona wówczas konkretnych sytuacji i sposobów zachowania, nie traktując przy tym ludzi w sposób nietolerancyjny. Zdolność do proroczej krytyki jest bardzo ważnym darem, który należy odróżnić od krytyki bezkrytycznej. Krytyka jest bowiem subtelną formą sztuki, której pech polega na tym, że wśród parających się nią, więcej jest techników aniżeli artystów. Już św. Paweł musiał cierpieć z tego powodu, skoro tak zwracał się do skłóconych Koryntian: *Otwórzcie się dla nas* (2 Kor 7, 2a).

IV. Kościół jako droga i wezwanie

Trzeba ciągle na nowo podkreślać: Kościół nie jest na pierwszym miejscu instytucją pomimo, że często w taki właśnie sposób daje się poznać. Ze względu na swój cel jest bardziej pewnym ruchem ludzi, którzy naśladując Chrystusa, są wspólnie w drodze. Z drogą związane są określone obrazy, jak „towarzyszenie komuś” czy „wspólne wędrowanie”.

Kościół jako droga oznacza również zaproszenie, by osobiste i społeczne życie kształtować na fundamencie nadziei. Jest to wezwanie do tego, by wspierać wszystkie możliwe siły i fantazje, moc ducha i serca, a także ręce i nogi w budowaniu zarówno

osobistego jak i wspólnotowego życia. Ten obraz mówi nam również o tym, że Kościół jako instytucja tak dalece podlega prawnej odpowiedzialności, jak daleko otwiera on drogi chrześcijańskiemu wymiarowi Kościoła oraz do tego słowem i czynem zaprasza.

Towarzyszenie w drodze oznacza pociechę, ochronę, podniesienie, ale nie jest okazywaniem sobie wzajemnie fałszywej grzeczności, kiedy chodzi o zdecydowanie o człowieczeństwo, albo gdy człowiek ucieka w rozwiązania, które po ludzku do niczego nie prowadzą. Znak Kościoła w wymiarze drogi i zaproszenia jest niekiedy cichy, ale czasem także bogaty i obfity. Trzeba wyostrzyć spojrzenie na pozytywne znaki czasu, a także ćwiczyć nasz sposób patrzenia w Kościele, byśmy je potrafili dostrzec. Myślę tutaj o małych grupach, wspólnotach podstawowych, żywych parafiach, grupach wzajemnej solidarności, o zaangażowanych kręgach takich jak młodzież, rodzice, cicha praca tak wielu kobiet i mężczyzn w różnych dziedzinach życia społecznego i parafialnego, w stowarzyszeniach i grupach spontanicznych, ale także wiele kontaktów i ubogacających spotkań z ludźmi, którzy z otwartością myślą o motywach swego działania, którzy innych do wędrówki zapraszają i stają się towarzyszami drogi. Ludzie, którzy przekazują horyzonty i perspektywy, którzy wyprowadzają z własnych ograniczeń, pozwalają doświadczać solidarności i na koniec przy całej powadze sprawy nie tracą poczucia humoru. Poza tym trzeba wspomnieć ludzi, którzy cierpią z powodu Kościoła, nie dając się jednak uwieść tej smutnej stronie rzeczywistości i pozostają wierni chrześcijańskiemu wymiarowi Kościoła. Myślę o ludziach, którzy nie poddali się rezygnacji, którzy nie dali się także złapać na lep złości i rezygnacji. Czy chrześcijanie nie mogą mówić sami z siebie o miłości do Kościoła? I to nie tylko z tego powodu, że widzą Kościół wierzącym okiem, jako prowizorium Boże, ale także dlatego, że właśnie tu przeżyli ubogacające ich spotkania z innymi ludźmi. Naturalnie, taką miłość, wypływającą z rzeczywistych doświadczeń, należałoby nazwać odważną miłością. Ale czy jest miłość nie odważna?

Tylko wtedy, kiedy my (bo i ktoś inny?) stworzymy w Kościele przestrzeń dla takich doświadczeń, stanie się możliwe wzmocnienie w Kościele sił powodujących w człowieku jego osobisty rozwój oraz proces poszukiwania własnej osobowości. Rozwój osobowości nie oznacza jednak tzw. „emancypacyjnego samourzeczywistnienia” w sensie autystycznej samowystarczalności, ale koniecznie włącza drugiego: oznacza przyjęcie więzi i zobowiązań; gotowość wychodzenia ze zniewoleń i fiksacji i przyjęcia innego człowieka, a także gotowość brania na siebie wartych tego zadań i ciężarów. Będąc ludźmi Kościoła, jesteśmy też wówczas ludźmi wrażliwymi. Tłumienie uczuć z jednej strony, oraz odrzucanie emocji staje się przyczyną lęków. Lęk wprowadza człowieka w niepewność. Pomimo iż lęk może prowadzić ku doświadczeniu uzdrowienia, pozostaje on jednak wrogiem człowieka, także w Kościele, kiedy nie jest rozpoznany. Lęk, podejrzenie i obawy we wszystkich wymiarach kościelnego i społecznego życia przyczyniają się często do powstawania mechanizmów samoobronnych oraz do poszukiwania złych doradców, by móc uporać się z przyszością.

Wszystko to, co zostało tutaj powiedziane jest słowem obrony Kościoła jako „sakramentu” dla świata, który rozumie się jako współtowarzyszenie w drodze i jako otwarta wspólnota w wierze.

V. Droga i zaproszenie... przez nas samych

Jeśli osoby świeckie chcą urzeczywistniać swoją współodpowiedzialność w Kościele według opisanego obrazu: „Kościół jako droga i zaproszenie”, wówczas trzeba zaproponować podwójną strategię działania. Po pierwsze musimy na polu naszego oddziaływania i na miarę naszych sił czynić to wszystko, co nam zostało polecone. Po drugie, kiedy idzie o zmiany strukturalne ustalające warunki i założenia dotyczące naszej współodpowiedzialności, musimy solidarnie reprezentować nasze interesy wobec gremiów podejmujących decyzję w Kościele. Podwójna strategia nie oznacza działania dwoma kanałami władzy. Powoduje ona, że we własnym działaniu można urzeczywistniać przyszłość Kościoła i żywej wspólnoty, a równocześnie troszczyć się o to, żeby instytucjonalne ramy były otwarte dla tych procesów, aby rozbudowywano drogę tam, gdzie zbyt ciasne ich wytyczenie mogłoby zniechęcić ludzi dobrej woli.

Co to daje, kiedy kierujemy nasze propozycje zmian tylko pod adresem hierarchii, a sami równocześnie nie próbujemy zaproponowanych reform i krytycznych pytań wprowadzać w życie? Czemu to służy, jeśli pozostawiamy innych, w tym także hierarchię samym sobie i nie próbujemy wyjść im i sobie nawzajem naprzeciw? Po co to wszystko, jeśli u innych widzimy wychudzone człowieczeństwo, czy określamy ich jako duchowo wysuszonych funkcjonariuszy albo kościelnych aktywistów, a sami nie chcemy uczynić kroku w ich stronę? Nie zmieni się ostatecznie żadnej sytuacji, ani żadnego człowieka, jeśli kieruje się w jego stronę tylko żądania, a nie próbuje się dokonać zmiany w sobie samym i wyjść drugiemu człowiekowi naprzeciw.

Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko wyjść poza nasze świeckie i klerykalne kompleksy, aby z charyzmatyczną samoświadomością podjąć wspólne działania. W takich konkretnych sytuacjach, gdy chrześcijanie zdolni są do wspólnego działania, widocznym staje się na ile struktury kościelne, z ich siłą, słabością i oczekiwaniami w stosunku do nich, pozostają niedocenione lub przecenione. Może odkryjemy wówczas, że drogi Boże przebiegają czasami zupełnie inaczej, niż wskazywałyby nasze plany, przemyślenia czy poszukiwania. Bez tej praktycznej odwagi do koniecznych kroków i bez wzajemnego otwarcia się na siebie, Boży Duch nie będzie się udzielał. Największym wyzwaniem dla empirycznego Kościoła jest to, że kochamy go w jego chrześcijańskim wymiarze.

VI. „Wyjdź ... i stań się błogosławieństwem”

Kiedy w naszym życiu chodzi o istotne procesy i decyzje, płacimy za to cenę, którą jesteśmy my sami. Zasada ta obowiązuje także w przypadku wiary. Wiara w Boga życia może się w codziennym zapracowaniu wyciszać i zamilknąć. W codziennych interesach naszego świata może się Bóg gdzieś zawieruszyć i Jego zniknięcie wcale nas na początku nie boli. Możliwe, że to wstrząsy, znudzenia, życiowe kryzysy albo załamania sprawiają, że człowiek zatracą nadzieję i życiowe zaufanie, czyli sens życia. Taki bolesny kryzys może jednak prowadzić do wyzwającego przełomu. Tak można rozumieć fakt, że wielu ludzi czeka na znaki nadziei i szuka pokarmu mogącego

zaspokoić ich duchowy głód. Sens bycia chrześcijaninem oraz sens Kościoła, z wszystkimi jego ranami i wspaniałościami, polega na przekazywaniu, w zaufaniu do Dobrej Nowiny Jezusa, wiedzy o tym, że my ludzie uczestniczymy w życiowej więzi, która przynosi nam ratunek. Wydaje się to dzisiaj niezauważalne, ponieważ my, ludzie zatracając poczucie naszych korzeni wpadamy w lęk, kiedy współczesnymi kryteriami bycia człowiekiem są tylko wyczyn, przydatność, oprocentowanie, sukces, konsumpcja i przede wszystkim pieniądz. Wielu ludzi staje się ofiarą własnej historii życia, a także społecznych uwarunkowań. Bogactwem Kościoła, który pragnie służyć człowiekowi, jest ukazywanie jego korzeni oraz nadawanie walce człowieka o godną przyszłość religijnej orientacji. Tu jest miejsce osoby świeckiej, miejsce, gdzie realizuje się jej powołanie. Bez świeckich Kościół nie może przyjść do świata. Równocześnie, bez Kościoła chrześcijanin nie może przyjść do świata. To, że Kościół do tego służy, jest szansą i ciężarem wszystkich jego członków. Osoby świeckie nie mogą na nikogo tego powołania scedować. To my sami stanowimy mosty ku pełnej nadziei przyszłości ku wiarygodnemu świadectwu Kościoła. Tylko na tej drodze staje się i dojrzewa to czego wszyscy pragniemy: mianowicie przez nas, z nami, ale także dla nas i dzięki nam uobecnia się żywy i przyjazny ludziom Kościół. Ciągłe na nowo trzeba powtarzać: Wszystkich dotyczy słowo, które Bóg skierował do Abrahama *Wyjdź ... i stań się błogosławieństwem* (Rdz 12, 1). — W tym znaczeniu życzymy sobie, aby godzina osób świeckich, jako stąpający mocno po ziemi sposób bycia chrześcijaninem, okazała się szansą Kościoła otwartego na Boga i na człowieka.

Kościół jako wspólnota wierzących rośnie ostatecznie nie z dołu do góry, nie z prawicy na lewicę, tylko od środka na zewnątrz. Godzina Kościoła wypełni się wtedy, gdy czas Boga stanie się czasem człowieka.

Tłumaczył z języka niemieckiego: SZYMON STUŁKOWSKI